

## z teatrem

## Molier „niemoralny” zuchwalec

TADEUSZ BUSKI

JEST cała seria bardzo poczytnych powieści biograficznych o sławnych arystach. Jest też sporo podobnych sztuk teatralnych. Jedną z nich to „Zmowa świętoszków” Bułhakowa, sztuka o Molierze, nadwornym komediantcie i komediopisarzu, który miał odwagę być sędzią swoich czasów i — choć cieszył się protekcją samego króla — napytał sobie biedy bezkompromisowym „Świętoszkami”. Ludwik XIV nie bez trudu osłonił Moliera przed skutkami gniewu tych, których sztuka najbardziej dotknęła. Król był praktyczny, doceniał talent zuchwalec, wiedział, że „może przysporzyć wiele chwały naszemu panowaniu”. „Zuchwalec” jednak przekracza wszelkie granice. Pisze i wystawia „Don Juana”, po którym nawet król nie ma odwagi nadal ujmować się za autorem. Nie ujdzie tedy „zmowie świętoszków”, którzy go zaatakują z kilku stron naraz; najsukuteczniejsze okaże się oskarżenie o niemoralne życie.

W sztuce Bułhakowa, aczkolwiek osadzonej w realiach epoki i wspartej wieloma faktami, nie chodzi o szczegółową precyzyjną biografię Moliera; pomija się tu zbyt wiele wydarzeń z ostatnich dziesięciu lat życia komediopisarza, o których traktuje „Zmowa świętoszków”. Chodzi o postawienie kilku zasadniczych pytań moralnych, o pokazanie na czym polega godność artysty, wierność powołaniu i przekonaniom, a nade wszystko o ukazanie skutków złamania reguł gry, obowiązujących nadwornego komedianta, funkcjonowania mechanizmów, uruchomionych przez oponentów pisarza, w celu zamknięcia mu ust. W dobrze rozpędzone tryby nawet król nie włoży palca.

**Z**MOWĘ świętoszków” od niedawna oglądamy na scenie Teatru Współczesnego. Odbieramy ją jako wyraźnie dwuwątkową sztukę. Pierwszy o zabarwieniu melodramatycznym opowiada o nieszczęśliwym ożenku Moliera z siostrą jego wioletoletniej przyjaciółki Armandą Bejart, która być może jest jego własną... córką. Drugi traktuje o „zmowie świętoszków”, którzy wykorzystują ten ożenek dla zdeptania pisarza, nie zaniedbując też innych sposobów unieszkodliwienia przeciwnika. Pierwszy wątek — w moim odczuciu drugoplanowy — jest na scenie co najmniej równorzędny, a to zakłóca ostrość spojrzenia na to, co wydaje się istotą sztuki. Kiedy oglądam Marię Zbyszewską, tak głęboko tragiczną w roli Magdaleny, zaczynam się wczuwać w dramata pani Bejart, a nie Moliera. Myślę, że — dla przykładu — scena spowiedzi powinna raczej zaakcentować perfidie i przewrotność dostojnych wrogów Moliera, niż przeżycia nieszczęśliwej. Nie jestem pewien, czy podobnym celem służącej scenie przestuchania

amanta nazwiskiem Moirron, Leonard Szewczuk miał powody do wygłaszania monologu z innej sztuki — „Don Juana”.

Przejdźmy jednak do postaci najważniejszej — Moliera. Poznajemy go w kilku „wydaniach”. A więc Moliera prywatnego, trochę śmiesznego, safandulowatego, poręcznego, przeżywającego w kulisach teatru i we własnym domu niejedno z tego, co potem trafia na stronie jego komedii. Sam w części jest ich bohaterem, niekoniecznie pozytywnym. Dalej — Moliera komedianta dworskiego, schlebiającego królowi, nieco chytrego, bo zginającego kark przecieć nie dla innej sprawy, jak dla przychylności wobec swych bezkompromisowych sztuk. Wreszcie Moliera dumnego, przyjmującego mimo osamotnienia i choroby wyzwanie wrogów, trwającego na scenie do ostatniego tchnienia. Zbiegniew Kornecki nie sprostał tym wszystkim niuansom, nie mniej jego Molier wydał mi się ludzki, nie papierowy. Król Stanisława Bredynganta, jak przystało monarsze, był powściągliwy, wyniosły, kulturalny, a nawet błyskotliwy. Nie wiem, jak mógł tolerować na swym dworze jednookiego, prymitywnego raptusa, zbyt grubą, jednoznaczną kreską narysowanego przez Bułhakowa, trochę jednak — za przy czyną Adama Cieślaka — bawiącego publiczność. Bawi też chwilami Bouton, sługa, który — jak nas przekonuje Andrzej Kierc — mógł być Molierowi pierwowzorem wielu postaci służących. Zimny, kamienny Zdzisław Kuźniar w roli arcybiskupa paryskiego jest jak trza, co znaczy jednak i to, że jest dość schematyczny i powierzchowny. Taki zresztą zarzut można postawić większości wykonawców. Z innych współtwórców przedstawienia mam potrzebę pochwalenia Janusza Tartyły za dowcipne wybrnięcie z rozlicznych trudności, jakich dostarcza „Zmowa świętoszków” (trzeba pokazać teatr w teatrze, trzeba zaprojektować kilka wnętrz).

Otrzymałmśmy przedstawienie, która można zmieścić w granicach poprawności, jeśli zgodzimy się, że te granice wyznacza przeciętna teatralna produkcja na polskiej prowincji. Nie ukrywam, że wydaje mi się to mało. Ale też nie udaję, że oczekuję w bieżącym sezonie cudów na Rzeźniczej.

Teatr Współczesny we Wrocławiu: „Mollere (Zmowa świętoszków)” Michała Bułhakowa w przekładzie Jerzego Pomianowskiego. Reżyseria: Stanisław Bredyngant. Scenografia: Janusz Tartyła. Ruch sceniczny: Leszek Czarnota. Wykonawcy: Maria Zbyszewska, Grażyna Krukówna-Frymar, Marzena Tomaszewska-Galińska, Zbigniew Kornecki, Eugeniusz Kujawski, Leonard Szewczuk, Andrzej Wojacek, Andrzej Kierc, Stanisław Bredyngant (Medard Plewacki), Adam Cieślak, Zdzisław Kuźniar (Marek Idziński), Jerzy Chudziński, Jerzy Góralczyk, Helena Reklewska, Tadeusz Gała, Andrzej Bielski, Medard Plewacki, Premiera — marzec 1974 r.